NOWINY TYGODNIA

SOBOTA
23. II. 1957 r.
Nr 7 (351)

DODATEK SPOŁECZNO KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

W numerze:

JERZY HORDYŃSKI — Modlitwa do Euterpe • ADRIAN CZERMIŃSKI — Rocznice Światowej Rady Pokoju — Goldoni • ORMUZD — Ludzie i sprawki — Diogenes poszukuje człowieka • KORESPONDENCJE • HUMOR • ŚWIAT W OBIEKTYWIE • NIE TRUDNO ZGADNĄĆ.

DOBRANOC-TOWARZYSZU

Stałem drżąc z zimna na peronie małej stacyjki. Po kilku dniowym pobycie u rodziny wracałem do Krakowa. Nie odprowadzał mnie nikt na dworzec. Matka czuła się źle, ojciec przedwczoraj wyjechał w jakiejś pilnej służbowej sprawie. Robiłem właśnie w pamięci bilans mojego miesięcznego budżetu i od zbożnej tej czynności oderwał mnie huk zbliżającego się pociągu.

Zgrzyt hamulców, skok na stopień wagonu i jestem w przedziale, w ciepłym pulmanowskim przedziale na siedzącym miejscu przy oknie.

Byłem zmarznięty, śpiący, nie docierały do mnie głosy tłoczących się na korytarzu ludzi, trzask rzucanych na półki walizek. Spanie jednak nie miało być moim udziałem w tej chwili.

Z drzemki wyrwało mnie zadnicze zdanie.

— A wam co się towarzyszu nie podoba!

Podniosłem głowę i usiłowałem odnaleźć mówiącego. Nie było to trudne. Właśnie w tej chwili mozolił się ze ściąganiem płaszcza, którego guzik zaczepił się o jakąś wiszącą na drzwiach siatkę. Uporał się wreszcie ze złośliwym guzikiem i z zadowoloną miną usiadł naprzeciw mnie.

Szczeniak, młody 22-letni ważniak, o wyblakłej gębie, właściciel dobrze skrojonego ubrania i nowiutkiej skórzanej raportówki. Patrzyłem na niego rozbawionym wzrokiem czekając na jakieś wyjaśnienie. Uważałem, że powinien powiedzieć coś jeszcze, usprawiedliwić swój wybuch. Starałem się znaleźć tego, który był przyczyną złości mego vis a vis.

Odpowiedź przyszła prędko. Starsza kobieta z olbrzymią walizą w ręce bezradnie rozglądała się od drzwi po przedziale.

—Pan... sąsiad ważniaka zerwał się z miejsca.

— Proszę niech pani usiadzie, nie mogłem zarezerwować miejsca, ten...

I urwał.

Zrozumiałem, wszystko stało się jasne. Poczułem przeraźliwą chęć uderzenia szczeniaka w pysk. Zdawałem sobie sprawę z niedorzeczności mego pragnienia, a jednak na prawdę dużo bym dał za wykonanie mego zamiaru.

Pociąg już był w ruchu. Trzeszczały rozklekotane ściany, narastał usypiający łoskot, wraz z nim moje marzenie stawało się małe, mniejsze.... aż zatarło się zupełnie w zgaszonym w przedziale świetle. Minęła godzina. Dojeżdżaliśmy do T. Właściciel raportówki ubrany już w płaszcz przeciskał się do wyjścia. Odprowadziły go spojrzenia moich współpasażerów. Wysiadł. Jeszcze na peronie mignęła jego sylwetka i zniknęła w tunelu. Poczułem jakąś ulgę. Wymuszony nastrój stał się czasem przeszłym.

Mój sąsiad trącił mnie poro zumiewawczo w bok.

— Panie ja jestem stary. Panie ja przeżyłem dużo. Wołyń, bandy ukraińskie. Widziałem kupę draństwa, ale „jak z ludźmi dobrze, to i ludzie dobrzy".

— A u nas?

— Taki smarkacz, a króla odstawia.

Kiwnąłem głową. Stary tylko na to czekał. W stukot kół pulmanowskiego wagonu wplatała się relacja z jego życia.

— Kiedyś był nauczycielem w zabitej na głucho ukraińskiej wsi. On i żona. Dwoje Polaków pomiędzy tysiącem Ukraińców. Nie narzekali na niego. Wybudował im nową szkołę, zwalniał dzieci do roboty w polu, nie usiłował mieszać się do ich chłopskich spraw. Przychodzili do niego po rady, po lekarstwa do szkolnej apteczki. Najczęściej potrzebny był „jod". Używało się go wtedy, gdy sierpem obciął ktoś sobie palec, bo na inne drobnostki był niepotrzebny.

Życie płynęło monotonnie i nudnie. Tylko co rok było trochę płaczu. Bo co rok niezmiennie przez wieś przechodził 1-majowy pochód i chłopi śpiewali „powstańte hnani i hołodni". Przechodzili przed cerkwią, koło szkoły i zdążali w stronę małego parszywego miasteczka W., gdzie zbierali się manifestanci z innych wsi. Tu następował punkt kulminacyjny. Przemówienie i pogrom. Do przemówień nie dochodziło, o ile funkcjonariusze policji zdążyli uwinąć się wcześniej i zatrzymać manifestujących po drodze.

Słychać wtedy było we wsi suche trzaski strzałów, a po pewnym czasie pod opłotkami chyłkiem przemykali pojedynczy chłopi. Po kilku dniach zaczynała się pielgrzymka do „pana kierownika".

Policja zatrzymywała tego czy owego pod zarzutem komunizmu. Groziło więzienie lub osławiona Bereza. Stary nauczyciel brał wtedy rower i jechał do miasteczka. Wracał zwykle bardzo późno, często w tak zwanym różowym humorze, ale wielu przymkniętych przychodziło z powrotem do domu.

Jak potrafił to zrobić, jakich używał wpływów?

Przypadkowo znał komendanta posterunku, a ten nie gardził wódką. Przewinienia zatrzymanych nie były zwykle zbyt groźne. Tłumaczył ich różnie, czasem tym, że są młodzi, lekkomyślni, że w zasadzie pozytywnie ustosunkowani. Zresztą to chyba obojętne. Wszystkie nieszkodliwe środki są dobre, żeby niewinnego wyciągnąć z więzienia.

Do domu razem z pobitymi przez policję chłopami wracał spokój. Na rok.

Nauczyciel uczył ukraińskie dzieci, pił z chłopami, pisał jakąś biograficzną powieść i klął na sobacze życie.

Bo stary nauczyciel był jeszcze wtedy młody. Zapowiadał się dobrze jako społecznik, a perspektywy były niewesołe. Za każdą śmielszą myśl, za każde bardziej liberalne posunięcie oczekiwały kary. Nie więzienie, do tego na szczęście nie dochodziło. Było szereg innych drobnych sposobów na umilanie życia. Przedtem uczył w mieście, utrzymywał kontakty towarzyskie, chodził do teatru, do kawiarni.

— Eh, żeby nie ten zatarg z władzami.

Z trzaskiem wywalono go na wieś. I tu też nie znalazł spokoju. Przyjeżdżał czarnym samochodem pan wizytator, zasmrodził dymem całą wieś. Posiedział 15 minut na lekcji, a później zmywał głowę.

A to nie wszystkie dzieci są czyste, a to że w jednej z sal nie ma Mościckiego, że za dużo mówią na przerwach po ukraińsku.

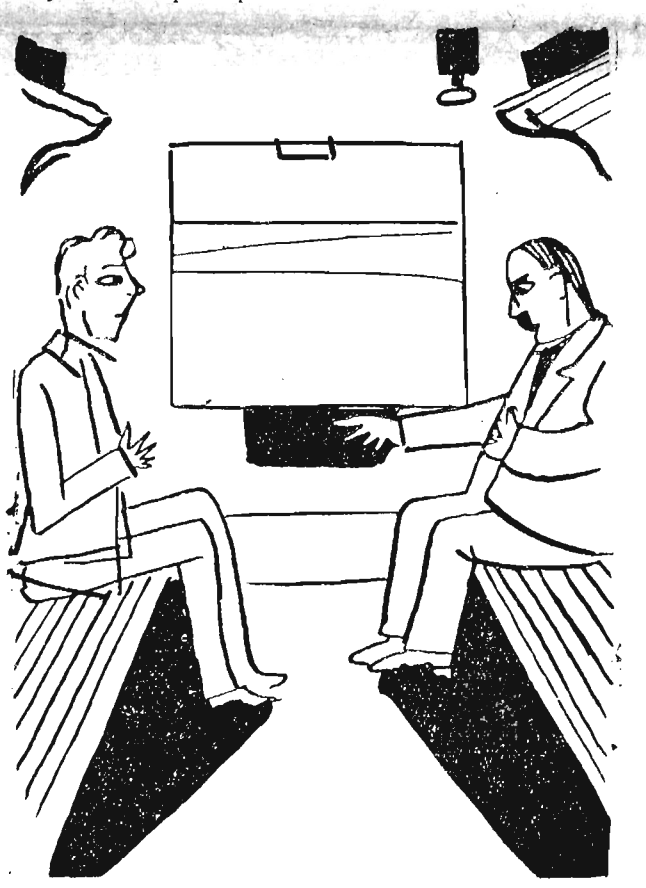

W czasie którejś wizytacji diabli przynieśli jeszcze tego Honczaruka. Akurat wizytator siedział w kancelarii, gdy ten wlazł i mówi:

— Janek, syn jutro nie pójdzie do szkoły, bo żonę do szpitala odwożę.

Nauczyciel odpowiedział — dobrze i pożegnał gościa.

Wizytatora jakby piorun strzelił.

— Z ukraińskim chłopem polski nauczyciel na ty sobie mówi! Gdzie jego ambicja, autorytet, jak mógł do tego dopuścić! Oj, trwała ta reprymenda z pół godziny.

Na nieśmiałe twierdzenie, że przecież to drobnostka, wizytator aż zsiniał.

Nie wiadomo jakby się to skończyło tym razem, gdyby nie wybuch wojny.

Przyszli Rosjanie, później Niemcy, później znów Rosjanie.

Nauczyciel siedział na wsi nie ruszał się nigdzie. W czasie osławionych UP-owskich rzezi przeniósł się tylko ze szkoły do jednego z chłopów. Pracował na polu, chodził do lasu kraść drzewo. Nie zaczepiał go nikt.

Zamyśliłem się, zasłuchałem się w głos mego sąsiada. Czułem, że jeszcze nie wszystko powiedział, że coś pozostało pomiędzy nami do wyjaśnienia. Jakiś punkt drobny, ale bardzo ważny.

— Chce pan słuchać dalej? Nie nudzi pana moje bajdurzenie?

— Proszę, niech pan mówi.

Stary ciągnął dalej.

To był już rok 1945. Bandy. Rozmaita swołocz pływała w mętnej wodzie, szaber, handel. Wstąpił wtedy do partii. Został instruktorem do spraw wsi. Wyjazdy w teren, zebrania, przemówienia, cały swój niekłamany entuzjam wkładał w pracę wypełniającą mu bez reszty życie. Zapomniał o domu, o wygodnym łóżku. Tłukł się po nocy rozklekotanym Willisem od wsi do wsi.

Nie bał się. — „Ludzie są dobrzy, byle z ludźmi dobrze".

Nigdy nie miał broni. Brzydził się nią. Na propozycję kolegów mówiących o pistolecie o konieczności, z uporem odmawiał.

— Nie wezmę tego do ręki.

Mijały lata, wciąż jeździł w teren. Dostał pół kasetki listów z pogróżkami, że komunistyczny pachołek, sowietczyk itd. Powoli przyzwyczaił się do zasmarowanych kopert, które przynosił listonosz. Przestał być nawet ciekawym ich zawartości.

— Tak, wyrzuciłem to całe świństwo do pieca, nie czytałem wszystkich. Były jednakowe i głupie.

Nie cierpiał tchórzy, a listy te, to cały ciąg tchórzy.

Raz tylko wyprowadzono go z równowagi. Wtedy, kiedy na wiejskiej drodze świetlny pocisk z kbk urwał mu połę płaszcza. O to miał cholerną pretensję do strzelającego, bo płaszcz był potem do luftu. Przerobiła go żona wprawdzie na kurtkę, ale odtąd marzł bardzo w kolana. Ciepły płaszcz to ważna rzecz w odkrytym samochodzie, a z pieniędzmi różowo nie było.

Powoli zapanowywał spokój. Ludzie wzięli się do roboty, coraz rzadziej było słychać strzały po lasach. Nadchodził rok 1953. W dniu 10 marca przyszedł do KM na jakąś naradę czy egzekutywę. Zaskoczyły go smutne miny kolegów. Nie wiedział jeszcze o niczym. Wieść o śmierci Stalina wywołała na twarzy nerwowy grymas, który przy pewnej fantazji można by było nazwać uśmiechem.

Znaleźli się gorliwi, twierdzący, że był to cyniczny uśmiech. Nie pomagały tłumaczenia. Staremu odebrano partyjną legitymację i wywalono z pracy.

Ach, jeszcze jeden ważny szczegół. W komisji kontroli partyjnej ukłonił mu się duch pana wizytatora. Zarzucono mu liberalizm, zbytnią poufałość z chłopami którzy co tu dużo gadać, lubili go bardzo. Zarzutów było szereg, wszystkich już nie pamięta. Skąd, minęło tyle czasu.

Tylko jeden z nich utkwił mu w głowie. Brzmiał dosłownie tak: „Nigdy nie miał pistoletu, bo przywiązany był do band".

Kiedy opuszczał budynek komitetu był wieczór. Przez kilka godzin walczył o swoje prawa, bez żadnego rezultatu. Traktowano go jak wariata, z jakimś osobliwym pobłażaniem.

Zwrócił się do KW. Czekał pod drzwiami na sekretarzy, był zbywany obietnicami. Nauczył się warować jak pies. On przecież wierzył, głęboko wierzył, że to jakaś tragiczna pomyłka.

Nie załatwiono nic.

Wyjechał na Ziemie Zachodnie.

Został kalkulatorem w jakiejś małej fabryczce. Nakrył jakieś świństwo, jakąś machlojkę. Zwrócił się do dyrektora. Wysłuchano go, nawet bardzo uważnie. Wynagrodzenie przyszło szybko.

„Za nadmierne zaniżenie norm, a tym samym działanie na szkodę państwa zwalniamy dyscyplinarnie itd."

Znów wędrówka, szukanie, jakaś nadzieja, jakaś plajta. Napatrzył się różności w tych swoich wycieczkach. Nie mógł teraz znieść, gdy zwracano się do niego per „towarzyszu". Był przecież „bezpartyjny". Mówił to wszędzie. Manifestował swoją „bezpartyjność" na każdym kroku.

A jednak ile razy odmawiano mu pracy, ilekroć wywalano go z gabinetu jakiegoś wszechmogącego cudotwórcy, tyle razy zwracano się do niego per „towarzyszu". Ile razy straszono go UB, ile razy postawił się do kogoś ostrzej zawsze usłyszał to słowo.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Z teki plastyki rzeszowskiej

CEZARY KOTOWICZ Intelektualiści — tempera

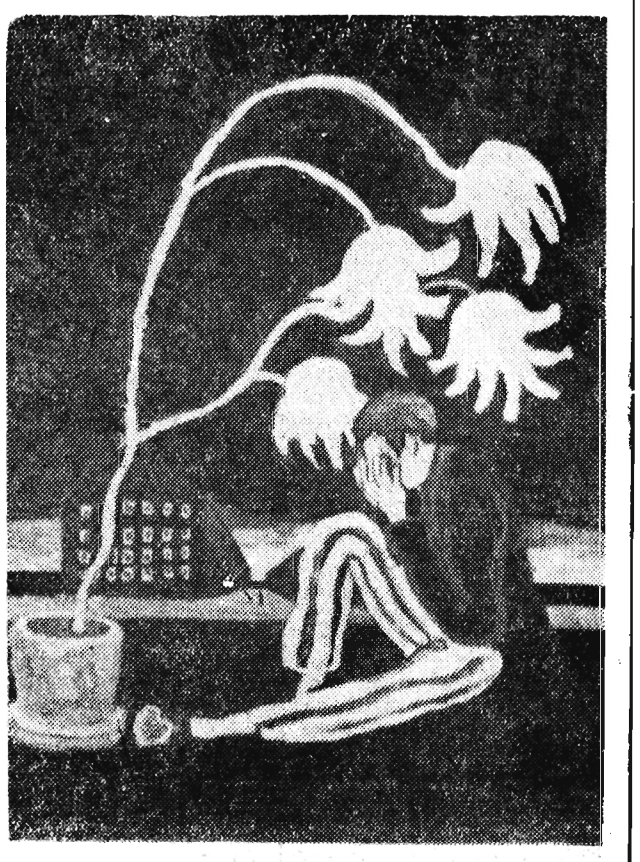

CEZARY KOTOWICZ Kwiat gruźlicy — tempera

Rocznice Światowej Rady Pokoju

GOLDONI

Goldoni chciał nie tylko bawić, ale wpływać na życie współczesne. Pragnął współdziałać w kształtowaniu społeczeństwa wyzwalającego się z wad przeszłości i w tym celu kazał mu się rozpoznać i ocenić w obrazie, jaki stwarzał na scenie.

Goldoni wprowadza w czyn swą słynną „reformę" teatralną przeciwstawiając się schyłkowej komedii dellarte i dążąc do przywrócenia pierwszeństwa tekstowi literackiemu.

(Prof. Mieczysław Brahmer)

PRZYSZEDŁEM na świat w najpiękniejszym z miast włoskich — w Wenecji. Było to przed 250 laty. Na kalendarzu widniało: 25 luty 1707 rok. Nie dałem o sobie znać krzykiem, gdy po raz pierwszy ujrzałem światło dnia; łagodność ta zdawała się

już od owej chwili odbiciem mego spokojnego charakteru, który nigdy później nie sprawił zawodu. Zostałem komediopisarzem; ale samo życie moje było największą komedią!

Jako ośmioletni smyk grałem rolę kobiecą, jako primadonna uczniowskiego teatru kolegium jezuickiego w Perugii. Pasjonowałem się domowym teatrem marionetek, który dobry mój papa, lekarz, urządził dla zabawy chłopca. Mając czternaście lat zmyliłem czujność ojców Dominikanów w Rimini i zamiast wkuwać scholastykę i filozofię zamieszkałem na barce z wędrowną trupą aktorską. Popłynąłem do Chioggi, gdzie przyłapali mnie rodzice i oddali na praktykę do adwokata w Wenecji. Nie szło; i znów znalazłem się w kolegium duchownym — gdzie wygolono mi tonsurkę na czubku głowy. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie tamtejsze mieszczki! Łagodnego jestem wprawdzie usposobienia, ale tak się rozjątrzyłem na nie, że obsmarowałem je w satyrze. Kobiety zrobiły rejwach, pobiegły do księdza gwardiana i znów wyrzucono mię. Miałem lat siedemnaście. Trzeba było pracować. Mając wstręt do stawiania baniek (mój papcio wziął mnie za pomocnika!), powędrowałem do zabitej deskami Feltre, jako urzędniczyna sądowy.

Dwadzieścia cztery lata — to nie żarty. Przywdziewam w Padwie biret doktorski i stroję się w adwokacką togę, zyskując uznanie mieszkańców Pizy. Zapraszają mnie do miejscowej akademii, gdzie wespół z innymi jej członkami zabawiam się rymotwórstwem. I wtedy — zjawia się wielki kusiciel...

Cezary d'Arbes był znakomitością aktorską. Występował jako Pantalone, jedna z popularnych postaci komedii dell arte, tj. komedii improwizowanej, w której tradycyjne postacie posługują się improwizowanym przez siebie dialogiem. Cezare zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie mu dialogu. Skusiło. Kiedy więc kierownik trupy aktorskiej spod znaku Św. Anioła w Wenecji (teatry brały nazwy od swych parafii kościelnych!) zaproponował mi stałą współpracę, machnąłem ręką na moją adwokaturę i powróciłem do rodzinnego miasta.

Ale czyż można usiedzieć na jednym miejscu, chociażby najpiękniejszym pod słońcem i tak najukochańszym jak Wenecja? Wędruję po miastach i miasteczkach jako dostawca literacki teatru Św. Anioła, poznaję w Genui moją dozgonną towarzyszkę i przedzierzgam się w dyplomatę. Pan konsul genueński — Carlo Goldoni — przybywa w splendorze do rodzinnego miasta, aby po trzech latach zawiesić na haku urzędniczą szpadę, a chwycić za pióro. Mając czterdzieści lat mam już naprawdę dosyć tego wszystkiego: i tej palestry, i dyplomacji, i włóczęgi przygodnej — wszystkiego prócz pisania!

Osiadam nad Canale Grande. Trzydzieści utworów scenicznych stanowi moje dossier autorskie. Kalendarz wskazuje: 1748 rok — karnawał; wenecki teatr Sant Angelo otwiera sezon moją nową komedią „Sprytna wdówka". Był to największy z moich sukcesów i było to odnowienie włoskiego teatru, reforma dotychczasowej komedii. Zamiast improwizowanego przez artystów tekstu dałem własny, w całości napisany literacki tekst sztuki. Zamiast nędznej arlekinady i szpetnych a gorszących awantur i żartów miłosnych dałem komedię charakterów. Postacie i tło wziąłem z życia ukochanej Wenecji.

Cezary d'Arbes okazał się świnią. Spakował manatki i powędrował do Drezna skuszony przez Augusta III, którego synka, Fredyryka Chrystiana, bawiącego incognito w Wenecji usatysfakcjonowałem publicznie odśpiewaną kantatą, w której Muzy sławiły przybysza z Saksonii i Polski! Zapewne Cezarego namówił hr. Brühl, którego tak obsmarowałem w „Pochlebcach", jakkolwiek jestem bardzo łagodnego usposobienia. Dla Augusta III opuściła również Wenecję urocza wdówka, Joanna Casanowa, ale nie moja „wesoła wdówka", lecz ta, której syn uwodził tysiące kobiet i wyjeżdżał z miasta naraz czterema bramami!

Zna mię w tym czasie Mantua, Genua, Turyn, Ferrara i Bologna. Przechodzę do patrycjuszowskiego teatru św. Łukasza i dostarczam już tylko sześciu sztuk rocznie, otrzymując za każdą sto dukatów.

Zostaję nadwornym poetą księcia Parmy. Rzymianie podziwiają moje opery komiczne. Piszę „Oberżystkę", która miała później zrobić karierę pod tytułem „Mirandoliny". Teka moja zawiera 150 komedii. I wówczas...

Ten łotr, ten gałgan, exjezuita Chiari! Co ja komedię — on drugą. Ja „Sprytną wdówkę" — on „Szkołę wdów", parodię, w której wyśmiewa mnie, mój teatr i moich aktorów. Wenecja dzieli się na dwa zwalczające się obozy: moich zwolenników i tego jezuickiego wypędka. Wkrótce pojawił się groźniejszy przeciwnik. Był nim zgryźliwy arystokrata, potomek dożów, Carlo Gozzi, nienawidzący wszystkiego, co nowe. Napadł na nas obydwu i wystawił swoją fantastyczną sztukę „Miłość trzech pomarańczy", a potem „Księżniczkę Turandot".

Publiczność wisiała u drzwi i okien. Jestem łagodnego usposobienia, więc nie podjąłem rzuconej rękawicy i wybrałem się do Paryża aby prowadzić tam teatr i uczyć królewskie córki dźwięcznego języka mej ojczyzny. Zaprotegowała mnie panna Silvestre, córka malarza nadwornego Augusta III Sasa. A jednak ci Sasi i Polacy, to niezły naród!

Donoszą mi do Paryża, że w Warszawie i Wilnie grają moje komedie i utwory; że pan Dmochowski przełożył i wydał mojego „Mecenasa poczciwego", jejmość panna Maliszewska „Miłość żołnierską", a pan Pękalski „Dziwaka dobroczynnego". Powiadamiają mnie też niektórzy przybysze z Polski, że magnat Jerzy Mniszech wystawił na swoim prywatnym theatrum w Dukli moją „Żonę poczciwą" i „Pannę rozumną" — to jest „Sprytną wdówkę". Podobno uczynił jednego z zalotników Polakiem, a całą rzecz przeniósł do Polski. Podobno moją Marionette całują tam w gębę i nazywają francuskim ciasteczkiem i naleśniczkiem! Żebym miał mniej niż osiemdziesiąt lat, pojechałbym do tej Dukli zobaczyć to dziwo!

Ale czuję, że niedługo przyjdzie mi już umierać. Siedzę i piszę pamiętniki; drugi tom gotów. Czy też kto będzie wspominał mnie po śmierci i jak długo przetrwają moje komedie? Wróżka jedna przepowiedziała mi nieśmiertelność, ale czy można wierzyć Cyganom? Wprawdzie Wolter i Goethe wróżą mi to samo, ale pisarzom wierzę jeszcze mniej! A może rzeczywiście Sława okryje mnie kiedyś swym płaszczem? I będą pamiętać o mnie nie tylko nad Tybrem i nad Sekwaną, ale również nad Renem, Łabą i Wisłą. Łagodny jestem z natury, ale na sławę pazerny!

Z pamiętników komediopisarza oraz jego polskich biografów — spisał

ADRIAN CZERMIŃSKI

MARTWA NATURA JERZY SIENKIEWICZ

DOBRANOC - TOWARZYSZU

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Straciło dla niego barwę, wyszarzałe. Stało się synonimem zła i niechęci.

„Towarzyszu, co wam się nie podoba".

Zamilkł.

Za oknami przelatywały iskry.

Dopiero teraz zauważyłem, że w przedziale prócz nas, została tylko jakaś babina, opatulona po uszy chustką.

Było pusto i smutno. Taki smutek 3-ciej nad ranem.

— Co dzisiaj? — Odważyłem się przerwać nużącą ciszę.

— No, pracuje się, do partii przyjęli z powrotem. W aparacie pracuję.

— Wieś, dalej wieś. Za bardzo się do tego przyzwyczaiłem, żebym rezygnował.

— Tak to się plecie, zaczęliśmy od tego...

— Ach, pan jeszcze o tym z raportówką. Byłbym już zapomniał. Dlaczego nie zwróciłem mu uwagi, że to nie kulturalnie i niewłaściwie zajmować miejsce kobiecie?

— Nie, nie chodzi mi o to zajęte miejsce, to głupstwo, drobna kwestia grzeczności. Młodziak mógł być zmęczony, chory.

— Nie mamy zbyt lekkiego życia. Nie można rozczulać się drobnostkami.

— Tylko dlaczego matoł, jak zły i ważny, wtedy, kiedy chodzi mu o własną wygodę mówi - towarzyszu.

— Dlaczego szarga to słowo jak stare sztruksowe portki?

Nie panie, tego nie mogłem mu powiedzieć tu, w przedziale, mógł mnie nie zrozumieć, a zresztą tak prędko wysiadł. Może kiedyś pojmie sam, albo ktoś inny mu o tym powie.

Pociąg zatrzymał się na dworcu.

Stary zdjął walizkę, naciągnął płaszcz. Dobranoc.

— Dobranoc towarzyszu.

JERZY WALAWSKI

LUDZIE I SPRAWKI

DIOGENES POSZUKUJE CZŁOWIEKA

Czasem człowiekowi przychodzi chęć wziąć wysokie „C". Jak tu nie pisać górnie? Na ulicy, w urzędzie, w autobusie, wszędzie nabierasz pewności, że Anglia ze swym poszanowaniem prawo rządności nie dorosła nam do pięt. Tak, tak jesteśmy krajem, który prawdopodobnie nabyty szacunek do urzędowych zarządzeń budzić winien podziw i zazdrość obcokrajowców.

Proszę nie protestować. Przykłady są godne uwagi.

Przystanek autobusowy w Rzeszowie, matka z małym dzieckiem na rękach usiłuje się dostać przednim pomostem do przepełnionego autobusu. Szkoda zachodu. Konduktor twardo stoi na straży prawa). Autobus odjeżdża. To był już drugi. Bagatelka!*

O ile dłużej warto podumać nad wyczynem konduktora żądającego z całą stanowczością (nie prędko ustąpił) zapłaty za przejazd od repatriantów, którzy przez pomyłkę wsiedli do innego pociągu. To nic, że całego majątku mieli 200 zł.

Prawo jest prawem.

Niech ktoś powie, że jesteśmy warchołami, że brak nam poszanowania prawa? Utkwiły mi w pamięci te rysy dość dziś charakterystyczne i wcale nie mam ochoty do błaznowania. Zjawisko nagminne. Choroba pochłonęła wiele ofiar.

— Znieczulica!

Węzłem, który podobno najpełniej łączy człowieka z życiem jest drugi człowiek. Człowiek złączony jest ze społeczeństwem tysiącem nici. Skąd więc ta wielka obojętność człowieka dla spraw ludzkich, dla spraw życia. Chcąc nie chcąc, aby znaleźć przyczynę schorzenia i skutecznie ją leczyć musimy cofnąć się w przeszłość...

Pamiętacie tych hałaśliwych kataryniarzy wygrywających w kółko te same melodie: „Człowiek to brzmi dumnie". Bojowi to byli kataryniarze.

Ale fałszywie ich ocenialiśmy.

Wierzyliśmy słusznie, że jeśli stosunki społeczne są lepsze to zmienia się również stosunek człowieka do społeczeństwa i odwrotnie. Nie uwzględniliśmy jednak, że zalgany frazesowicz ma dwie moralności: oficjalną i prywatną, jedną na zebranie, drugą dla „wtajemniczonych". Syn nabierał pogardy dla rodzica widząc go w podwójnej roli, ale korzystał coś niecoś z tych nauk. „W życiu trzeba być praktycznym" (nie wstąpisz do ZMP, nici z wyższej uczelni). Czyny mijały się ze słowami. Dewaluowało się słowo. Tak rodziła się pustka ideowa i moralna, pogarda do człowieka — Znieczulica!

Ktoś opowiadał mi, że w czasie wyświetlania filmu „Wrota piekieł" scena gdy Morito zabija Kesę budziła głośny śmiech kilku młodzieńców, a jeden ilustrował wydarzenia na ekranie pobrzękiwaniem na gitarze. No cóż, nie jesteśmy przyzwyczajeni do obcej konwencji gry aktorskiej. Czasem nas śmieszy (może kiedyś wychowamy widza).

Ale, że cierpienie ludzkie może w ogóle śmieszyć, nie śniło się nawet filozofom! Gdzie źródło? Może ci praktyczni młodzieńcy wyznający zasadę: „śmierć frajerom" nie zapomnieli jeszcze pouczających dyskusji jakich nie brakło w minionych latach? Pamiętam jedną z nich po premierze „Mieszczan" w teatrze rzeszowskim, któryś z dyskutantów zwrócił uwagę, że publiczność nieodpowiednio reaguje na akcję sztuki. Wtedy przedstawiciel „czynników oficjalnych" uciął autorytatywnie dyskusję:

— „A cóż, może mają płakać jak umiera córka burżuja...".

Duszno było na tych dyskusjach!

Nadeszły dni, które pozwalają nam z ulgą znosić trudy dnia dzisiejszego. Może za lat kilka Diogenes nie będzie musiał szukać z latarką człowieka.

Ormuzd

*) Prezydium MRN w Rzeszowie, jest jednym z nielicznych które wydało zarządzenie zabraniające matkom z dziećmi i inwalidom wsiadać przednim pomostem do autobusu MKS.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A. DOPART. Dębica. Artykuł po znacznych skrótach i poprawkach można wykorzystać, ale obecnie stracił on w znacznym stopniu swoją aktualność.

* * *

LEONARD NYCZ. Krosno — Suchodół. Tematyka bardzo interesująca, ale forma jeszcze zbyt słaba. Może spróbujecie opisać Wasze przeżycia prozą?

* * *

W. PRĘTKIEWICZ. Niestety — grafomaństwo. Oczywiście nie wydrukujemy.

* * *

EWELINA B. Sanok. Podzielamy w pełni uczucia Pani, jednak wiersze nie nadają się jeszcze do druku.

* * *

TADEUSZ ŻYŁKA pow. Sanok, ST. RĄCZKOWSKI Rzeszów, JAN GIEROŃ Rzeszów-Staroniwa, E. BIEŃ pow. Dębica, FRANCISZEK WITEK, JAN GLIŃSKI — nie skorzystamy.

JERZY HORDYŃSKI

Modlitwa do Euterpe

Twoich włosów słoneczny piach
ucieka mi przez dłonie
jak niespokojny ptak
i już go nie dogonię.

Ach w niedościgły wiatr
rozwiewają się stopy bose,
ucisz burzę, nie jestem wart
rozwartych na oścież niebiosów

Z moich nieszczelnych snów
zaledwie twe imię ocalę,
zaklęte w gałązkę bzu
i kalinowe korale.

Lecz ty nade mną świeć
łaskawie gwiazdą poranną,
błogosław każdy mój dzień
o helikońska panno.

KORESPONDENCJE

BRAKUJĄCA KARTKA

„Wspomnień" Wł. Fołty

Książka Władysława Fołty pt. „Wspomnienia z walk młodzieży chłopskiej" ukazała się w ubr. Przeczytałem ją dość późno bo dopiero z początkiem stycznia br.

Nie zamierzam dokonywać oceny tej książki. Uczyniły to już „Nowe drogi" w obszernej i gruntownej recenzji zamieszczonej w grudniowym numerze 1956 r. Ograniczę się tylko do przedstawienia kilku uwag jakie mi się nasunęły przy czytaniu fragmentów „Wspomnień" dotyczących ruchu robotniczego w Przeworsku i działalności TUR przed wojną.

Nie miałbym żadnych pretensji do autora, gdyby pominął całkowicie działalność polityczną i społeczną robotników. Jest to bowiem książka poświęcona walce młodzieży chłopskiej o postęp na wsi.

Ale jeżeli sam autor podjął już ten temat a przedstawił go w niepełnym świetle chcę przypomnieć pewne fakty i wydarzenia z tamtych lat.

Dlatego to czynię, bo jestem przekonany, że jedna lub dwie strony więcej w jego „Wspomnieniach" dałyby rzetelne świadectwo o walce robotników z władzami sanacyjnymi i o działalności postępowych organizacji robotniczych.

W latach 1936 — 1939 grupa towarzyszy a m. in. Stanisław Michalik, Michał Kamiński, Józef Jadam i inni pod kierownictwem tow. M. Kaczora KPP-owca rozwinęła aktywną działalność wśród robotników budowlanych. W rezultacie został zorganizowany klasowy Związek Zawodowy Robotników Przemysłu Budowlanego i Ceramicznego.

W grudniu 1937 r. dr L. Grossel znany działacz PPS jednolitofrontowiec z Przemyśla dokonał odsłonięcia czerwonego sztandaru u budowlanych ufundowanego ze składek i datków — robotników.

W tym czasie powstało też w mieście PPS.

Przy świetlicy Związku Budowlanych powstał TUR, którego przewodniczącym był towarzysz M. Kaczor. Starostwo odmówiło rejestracji TUR, co nie przeszkodziło jednak członkom tej organizacji prowadzenia działalności.

Aktywiści budowlanych, TUR, robotników cukrowni i kolejarze co roku urządzali uroczystości 1-majowe. W 1937 r. zaproszono na wiec 1-majowy Mariana Czuchnowskiego — poetę i literata lewicowego. Władze starościńskie nie wydały zezwolenia na akademię w sali „Sokoła", odbyła się ona w Domu Ludowym na przedmieściu jako akademia ku czci zmarłego pisarza Andrzeja Struga.

W następnym roku na zapowiedziany wiec 1-majowy również z udziałem M. Czuchnowskiego przyby ło do Przeworska około 10—12 tysięcy chłopów. W ostatniej chwili odmówiono sali w „Sokole". Wiec odbył się z parogodzinnym opóźnieniem na Mokrej Stronie i oczywiście przy mniejszej frekwencji uczestników w obejściu Kostki — ozłonka Stronnictwa Ludowego.

TUR prowadził bibliotekę wędrowną (dar ZZK) z literaturą społeczno-polityczną i z dziełami literatury pięknej lewicowych pisarzy polskich i obcych a w szczególności radzieckich.

TUR próbował zorganizować odczyt z udziałem Wandy Wasilewskiej, Leona Kruczkowskiego i Pawła Hulki-Laskowskiego. Jednak i tym razem na przeszkodzie stanęła odmowa ówczesnych władz sanacyjnych.

TUR-owcy utrzymywali żywe kontakty z działaczami „Wici", a m. in. z Michałem Markowskim i Józefem Krupą ze Studziana, Antonim i Franciszkiem Krupą z Mokrej Strony, Józefem Zlębą z Żuklina, Józefem Żyłą z Pantalowic itd.

W 1938 roku odbywały się wybory do samorządu miejskiego w całej Polsce. Odbywały się także wybory do miejskiej rady w Przeworsku. Wówczas pod kierownictwem towarzyszy z PPS (na wpół legalnej) i TUR robotnicy przeworscy z cukrowni, kolejarze i budowlani wystawiali własną listę kandydatów na radnych. Niestety z powodu „cudu" przy obliczaniu głosów do rady weszło tylko dwóch działaczy PPS tj. Stanisław Rut i Stanisław Motyl.

Czy robotnicy cukrowni głosowali na Lubomirskiego? — przypuszczam, że wielu głosowało na tego obszarnika podobnie — jak i wielu chłopów. Wśród robotników cukrowni powoli kształtowała się i krzepła świadomość klasowa. Trzeba wziąć pod uwagę, że większość załogi cukrowni stanowili chłopi — posiadacze gospodarstw rolnych. Jednakże i tutaj PPS prowadziła aktywną pracę polityczną. W 1938 roku tuż przed kampanią wybuchł strajk. Robotnicy zażądali zmiany dotychczasowej umowy zbiorowej i podwyżki płac. Osiągnęli pełne zwycięstwo, dyrekcja cukrowni poszła na ustępstwa.

B. członkowie TUR, PPS i komuniści stworzyli w okresie okupacji trzon PPR na terenie miasta i powiatu. Po wyzwoleniu oni pierwsi stanęli do walki o demokrację i socjalizm. Z. Ryczkowski, Szczepan Śliwa, M. Kamiński i wielu, wielu innych parcelowali obszarnicze majątki, zachęcali chłopów, aby bez wahania brali ziemię w swoje posiadanie. Wielu towarzyszy PPR zginęło później w walce z reakcyjnym podziemiem jako funkcjonariusze organów bezpieczeństwa.

Ukazywanie w książce jako aktywistów robotniczych tylko Kowala (?) czy Kulpę z Rozborza zresztą ujemnych postaci nie odpowiada rzeczywistości.

Książkę przeczytałem z przyjemnością, napisana jest ona bardzo interesująco, żywo, jest bogato ilustrowana różnymi zdjęciami i fotokopiami dokumentów o wartości historycznej.

J. NOWAKOWSKI
b. TUR-owiec

KORESPONDENCJE KORESPONDENCJE

O BIBLIOTECE NAUKOWEJ W RZESZOWIE — SŁÓW KILKA

Tylko przypomnę: naukowiec czy nawet człowiek interesujący się nauką, zazwyczaj ma w swoim domu mniejszą czy większą, czasem bardzo wielką bibliotekę, a w niej dzieła związane z jego zainteresowaniami. Tego typu ludzie wyrzekają się bardzo wielu rzeczy właśnie dla kupna książki.

Przejdźmy do uniwersytetów, każdy z nich ma ogólną bibliotekę naukową o szerokim wachlarzu, ale obok tego każdy z zakładów ma swoją bibliotekę tzw. podręczną, odnoszącą się tylko do danej dyscypliny nauki, a korzystają z niej w specjalnej czytelni tak profesorowie jak i przede wszystkim studenci.

Niezależnie od bibliotek naukowców i uniwersyteckich, cały szereg instytucji naukowych, jakiekolwiek by one były, posiadają biblioteki podręczne, a traktujące o tych zagadnieniach, którymi żyją dane instytucje.

Po tym krótkim wstępie przejdźmy do Rzeszowa. Jest tutaj kilka bibliotek i zajmijmy się nimi po kolei. Zacznijmy od najmłodszej — od lekarskiej; jest to wybitnie biblioteka zawodowa, służąca tylko lekarzom, z której korzystają w specjalnej czytelni. Podobną do niej w swoich założeniach jest Biblioteka Pedagogiczna z wyraźnym przeznaczeniem, a więc mająca służyć przede wszystkim nauczycielstwu. I wreszcie największa z bibliotek, Biblioteka Wojewódzka. Posiada wspaniały budynek, bogaty księgozbiór. W księgozbiorze jest wiele działów, a więc dziecięcy z odpowiednią czytelnią, podobnież młodzieżowy, jest czytelnia dla starszych z mnóstwem czasopism, jest ogromna ilość beletrystyki, czyli — biblioteka wybitnie oświatowa, spełniająca w swoim zakresie wysoce pożyteczną rolę.

Następna biblioteka, która stanowi specjalną pozycję — to biblioteka Liceum Męskiego przy ul. 3 Maja, a tworzona sukcesywnie przez pełne 300 lat. Jest to niewątpliwie cenna pozycja na terenie naszego województwa i nią bliżej tutaj nie będziemy się zajmować.

Na terenie województwa jest pewna ilość tak naukowców jak i ludzi zajmujących się nauką. Każdy z tych ludzi ma swoją podręczną bibliotekę. Niewątpliwie największym skupiskiem pracowników naukowych jest Muzeum w Rzeszowie. Pracuje w nim 6 pracowników naukowych. Celem ich jest tak dokumentacja różnych problemów naukowych na terenie naszego województwa, jak i opracowywanie tych problemów oraz ogłaszanie drukiem. Interesuje się więc Muzeum w Rzeszowie archeologią, etnografią, architekturą, historią regionu, jego sztuką, sztuką ludową. Grupa ta na pewno powiększy się, zwłaszcza po ukończeniu remontu i wobec problemu nad którym dyskutuje się tak w Polskiej Akademii Nauk jak i w Ministerstwie Kultury i Sztuki — ożywienie badań i prac naukowych regionalnych. Jest rzeczą jasną i oczywistą, że instytucja naukowa jaką jest Muzeum i jego pracownicy, muszą mieć jak najbogatszą bibliotekę podręczną, która jest ich pomocą i narzędziem pracy.

Przysłowiem stały się już Niderlandy i Zagłoba. Otóż moim zdaniem ob. Kazimierz Bosek, autor artykułu „W sprawie biblioteki naukowej", zamieszczonym w „Nowinach Tygodnia" nr 6/57, zagłobowym gestem chce obdarować jedną bibliotekę drugą, tzn. bibliotekę muzealną. I wyobraźmy sobie: bibliotekę zabrano, przeniesiono i nagle jednemu czy drugiemu pracownikowi naukowemu z Muzeum potrzebna jest pewna ilość książek, co jest zresztą rzeczą codzienną. Musi więc przerywać pracę, biec na dziesiątą ulicę, tam dokonać całego szeregu formalności, dostać wreszcie książkę... taka latanina miałaby miejsce codziennie a nawet po kilka razy i przez kilku pracowników. Prawda jakie by to było szalone „ułatwienie" pracy? A może by tak i prywatne biblioteki podręczne skomasować?

Obywatel K. Bosek z wiarą i przekonaniem, niejako autorytatywnie twierdzi, że w Rzeszowie nie może powstać instytut naukowy. Skąd ta pewność? A właśnie zagadnienie to bardzo poważnie rozważane jest i w PAN i w Ministerstwie Kultury i Sztuki i w Zw. Zaw. Pracowników Kultury... zewsząd słyszy się głosy, że na prowincji powstała próżnia, że prowincja jest nieznana i nieopracowana, że właśnie w miejscowościach, w których nie ma uniwersytetów, muszą powstać żywotne placówki naukowe, widzimy powszechny pęd do reaktywowania starych towarzystw naukowych, aż tu nagle... ażeby stało się zadość czyjejś nieprzemyślanej koncepcji, chce się pozbawić placówki naukowej jej podręcznej biblioteki. Ze swej strony właśnie wierzę, że prowincja zostanie ożywiona, przede wszystkim przez zaawansowanie aktywnych placówek do rangi instytutów naukowych.

Jakże na innym stanowisku stanęła ostatnia sesja WRN, która na wniosek Komisji uchwaliła utworzenie wojewódzkiego funduszu wydawniczego.

I wreszcie... z początkowych wypowiedzi ob. K. Boska można by nabrać niezłomnego przekonania, że autor w/w artykułu posiada doskonale opanowaną wiedzę o Rzeszowie i jego przeszłości. Tymczasem...

W bibliotece muzealnej jest specjalny dział wydawnictw regionalnych, a zwłaszcza rzeszowskich. I gdyby tak wziąć wydawnictwa rzeszowskie z okresu po drugiej wojnie — a przecież wydawnictwa są dowodem życia kulturalnego — ich ilość i wagę, a następnie popatrzeć na dorobek wydawniczy Rzeszowa z 2 połowy XIX i początku XX wieku, porównanie niestety wypadłoby na korzyść XIX w. Ale już tak przyzwyczailiśmy się w ciągu ubiegłych lat mechanicznie, ujemnie oceniać to co było dawniej, a chwalić co jest obecnie, że wychodza z tego takie paradoksy, jak właśnie ocena dawnego Rzeszowa.

Jest faktem, cywilizacyjnie Rzeszów poszedł daleko naprzód i postępuje stale, to jest właśnie dorobek okresu powojennego, ale jeśli chodzi o kulturę we właściwym tego słowa znaczeniu, a to stwierdzić można na podstawie różnych dokumentów, to ta kultura stała ongiś znacznie wyżej. I należy dołożyć wszelkich wysiłków, ażeby tamten poziom nie tylko doścignąć, ale i prześcignąć, ale nie sposobem podsuwanym przez ob. K. Boska.

Franciszek Kotula

Dla 6 osób —

czy dla szerokiego ogółu?

Polemizujący z moim felietonem, dyrektor rzeszowskiego muzeum doc. Franciszek Kotula, przypisał mi, ku memu zdumieniu, zagłobowy gest i znane przysłowie o Niderlandach. Ponieważ w swym felietonie nie mogę doszukać się aktu darowizny owych beneficjów placówce, której — sądząc z wypowiedzi obok — długo jeszcze nie będzie, i przede wszystkim ze względu na to, że przysłów nie należy traktować poważnie, — ten ważki punkt polemiki doc. Kotuli z premedytacją pomijam.

Natomiast podkreślam — a zdanie własne zawsze wolno mi mieć — że w dalszym ciągu stoję na stanowisku, dyktowanym przez interes społeczny. Interes ten wymaga szybkiego utworzenia biblioteki w warunkach, które gwarantowałyby nie tylko sześciu pracownikom muzeum możliwości dogodnego korzystania z naukowego księgozbioru. Dlaczego więc doc. Kotula uzurpuje owej 6-osobowej instytucji prawo posiadania najbogatszej biblioteki, przedstawiającej wartość przede wszystkim naukową? Stąd przyznam — i nie tylko zresztą ja — że jeśli sześć osób korzystać będzie na codzień ze zbiorów cennej biblioteki, to nadal będą u nas ludzie bez „doskonale opanowanej wiedzy o Rzeszowie i jego przeszłości".

Wydaje mi się, że sytuacja wokół sprawy biblioteki naukowej jest poważnie zagmatwana. Zagmatwana jest ciężkim sporem, o którym wspomniałem w felietonie, a który toczony jest z dużą szkodą dla ostatecznego rezultatu. I na nic nie przydadzą się hasła o przewidywanym ożywieniu prowincji, zawarte w słowach doc. Kotuli, jeśli nadal w grę wchodzić będą osobiste ambicje i plany. A w grę one wchodzą, niestety tak, jak przewidywałem.

Nie próbowałem w felietonie sugerować jakiegoś ograbienia muzeum z jego własności. Pragnąłem jedynie i nadal pragnę przekonać o konieczności utworzenia w Rzeszowie biblioteki dla wszystkich tych, którzy zajmują się pracą naukowo—badawczą. Twierdzenie doc. Kotuli o tym jakoby muzeum było największym skupiskiem pracowników naukowych, nie wydaje mi się całkowicie słuszne. Ludzi takich jest już sporo gdzie indziej i dla nich właśnie potrzebna jest biblioteka utworzona z księgozbiorów nie tylko muzealnych.

Jestem przekonany, że sprawa biblioteki naukowej nie skończy się na dwugłosie: doc. Kotula — Bosek, tym bardziej, że stanowiska są krańcowo różne. Sprawą zainteresowanych jest wielu ludzi, ich proszę o dyskusję. Bo sprawa ważna i niecierpiąca zwłoki.

Kazimierz Bosek

„PRZYCZYNEK DO RZESZOWSKIEGO KULTUROZNAWSTWA"

Przeczytałem wszystkie głosy w dyskusji o kulturze, którą zapoczątkował swą wypowiedzią docent Franciszek Kotula. Zastanawiałem się nad tym, co powiedziano w tej dyskusji. O tym, kto i jak powinien społeczeństwo wychowywać. Przyznaję, że pojęcia niektórych dyskutantów wydają mi się zabawne, ale nie o tym chcę dyskutować. Podzielam zdanie K.K., że „trudno zgodzić się z tym, by rolę wychowawcy społeczeństwa przyjęła na siebie w pierwszym rzędzie milicja". Naprawdę trudno, bo wtedy artyści, pedagodzy i tzw. „działacze kulturalni" musieliby wstąpić do MO.

Nie jest jednak moim celem parodiowanie wypowiedzi. Znam w pełni wartość przysłowia: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło". (Podobno w Rzeszowie lepiej nikogo nie ganić).

Dziedziną moją jest, jak nazwałby to K. K. „kultura ducha" i o pewnych jej przejawach w Rzeszowie uważam za stosowne napisać.

Czy „sztuki piękne" nie są wytworem „kultury ducha"? Zapewne tak. Chociaż, to, co wielu rzeszowian uważa za „sztukę", nazwać by można raczej wytworem upadku tej kultury. (Patrz większość wystaw sklepowych).

Jestem plastykiem, i o plastyce (a raczej o pewnych z nią związanych problemach) będę mówił choćby z tego tytułu, że istnieje obecnie słuszna tendencja aby w sprawach każdego zawodu mówili fachowcy.

Nie obrażajcie się mili rzeszowianie. Jeżeli będę chciał dowiedzieć się jak prowadzić auto, zapytam o to szofera, o „technikę sprzedaży" zapytam subiekta. Wcale nie będę się tego wstydził. Tak już na świecie jest, że trudno znać się na wszystkim, choć prawie wszyscy rzeszowianie sądzą, że znają się na plastyce.

Najpierw trochę własnych wspomnień. Zaczynam od czasów, gdy zjawiła się u mnie pamięć. (Co było przed wojną, w plastyce rzeszowskiej, nie wiem). Odpada zatem efektowne porównanie: „przed wojną, a dzisiaj w plastyce rzeszowskiej". Za okupacji byłem brzdącem i najbardziej interesowała mnie jazda na hulajnodze i gra w kiczki. (O rzeszowskiej plastyce nic nie wiedziałem). Pierwsze wystawy zobaczyłem po wojnie. Były to obrazy artystów, którzy wtedy mieszkali w Rzeszowie, lub przebywali w naszym województwie: Mieczysława Weimana (dziś znanego malarza i grafika prof. ASP w Krakowie), Zdzisława Truskolaskiego (wybitnego malarza o którym kochani rzeszowianie „od kultury" zdążyli gruntownie zapomnieć), prof. Przedwojewskiego znanego medaliera (wymienia go w swej historii Gumowski), Kamińskiego (malarza zmarłego w Rzeszowie). Później pamięć moja zanotowała zlikwidowanie Ogniska Plastycznego, odebranie plastykom na ich cele wyremontowanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki budynku, i kilka lat pustki, za którą kogo winić?

O tym co się dzieje od roku rzeszowianie wiedzą z prasy. Jakaż jest dzisiaj sytuacja? Dzisiaj w samym Rzeszowie kilkudziesięciu plastyków należących do ZPAP, a więc fachowców wykształconych w akademiach, nie ma gdzie pokazać swoich prac. Wyobraźcie sobie artystę, który tworzy po to, aby swe obrazy, czy grafiki chować za szafę; bo w Rzeszowie, mieście wojewódzkim, nie ma sali wystawowej. Przypomina mi się przygoda Czerny—Stefańskiej, której w Jaśle nie dano fortepianu, bo przecież byle komu nie można dawać „instrumentu".

ZPAP stara się o stałą salę wystawową. Chodziliśmy gdzie trzeba, prosiliśmy. Odpowiadano; nie ma, trudno, my też bardzo byśmy chcieli mieć stały lokal wystawowy, ale naprawdę nie ma. W przyszłości... bożnica...

Tak! bożnica, przyszłość, loty międzyplanetarne, mózgi elektronowe...

Kiedyś pisano, że Rzeszów jest jednym z nielicznych miast wojewódzkich, które nie posiada wyższej uczelni, a ja i moi koledzy zmuszeni jesteśmy skandować sobie: „Rzeszów jest jedynym miastem wojewódzkim, które nie posiada stałego lokalu wystawowego. W czasie 12 lat nie postarano się o to".

I jak tu mówić o „kulturze ducha".

Wyobraźcie sobie z kolei np. nauczyciela, który skończył Liceum Pedagogiczne w Rzeszowie i nie widział ani raz wystawy, a może raz przez pół godziny, podczas wycieczki do Krakowa. Czy potrafi dzieciom, gdzieś w Matysówce wyjaśnić pojęcie słowa „sztuka"?.

Pan K. K. pisze: „sztukę trzeba uczynić jednym ze środków oddziaływania na społeczeństwo". Ma Pan rację, nie trzeba wtedy będzie wymagać od MO, tego do czego powołani są między innymi artyści. W Rzeszowie odnosi się wrażenie, że z plastyków zrezygnowano, że są niepotrzebni.

ZPAP mieści się dosłownie w norze. Jak inaczej nazwać lokal, w którym zmuszeni jesteśmy przebywać? Biuro, magazyn i pracownia dla kilkudziesięciu plastyków w jednym ciemnym, zimnym pokoju. Tak jakby malarzom potrzebna była do pracy właśnie ciemność. O ironio losu!

Jeżeli chcemy społeczeństwo wychowywać, podnosić poziom jego kultury, to przede wszystkim zaopiekujmy się ludźmi, którzy powinni to robić. Sami urzędnicy nie dadzą rady.

CEZARY KOTOWICZ

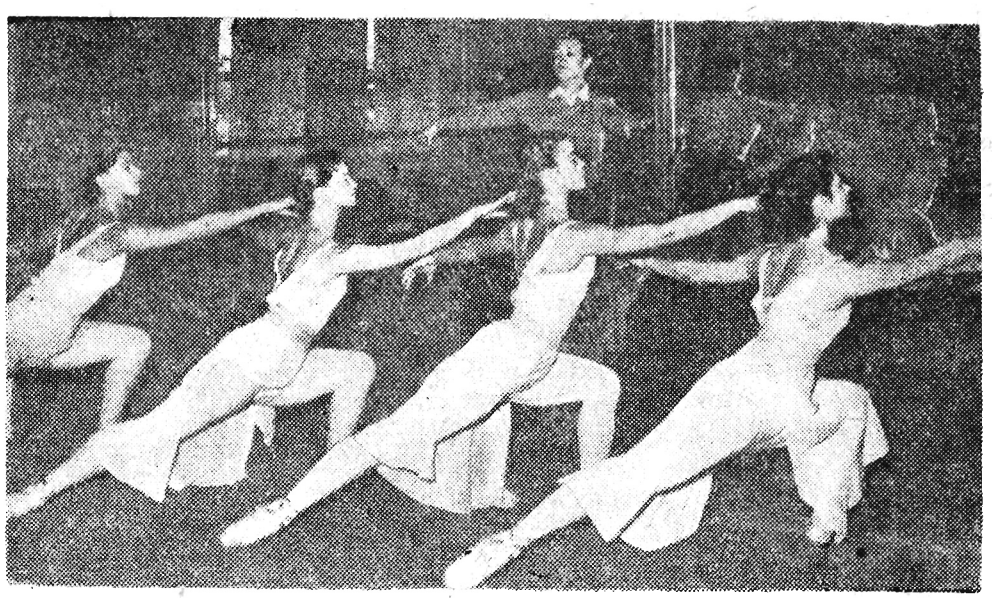

Marzeniem wielu miłośników baletu jest zobaczyć balet radziecki, znany i podziwiany w całym świecie. Tradycje baletu rosyjskiego z wielkim pietyzmem kultywuje młode pokolenie spośród którego, coraz to nowe talenty pojawiają się na deskach scenicznych.

Na zdjęciu: lekcja w jednej ze szkół baletowych.

Senora de Gallegos była przedstawicielem rządu Costa Riki w Londynie. Wszystko było jak najlepiej dopóki... nie postanowiła wyjść za mąż. Ponieważ prawo brytyjskie nie pozwala na pełnienie funkcji ambasadora kobietom zamężnym, pani de Gallegos wraz ze swym mężem, dyplomatą urugwajskim musiała przenieść się do Hiszpanii.

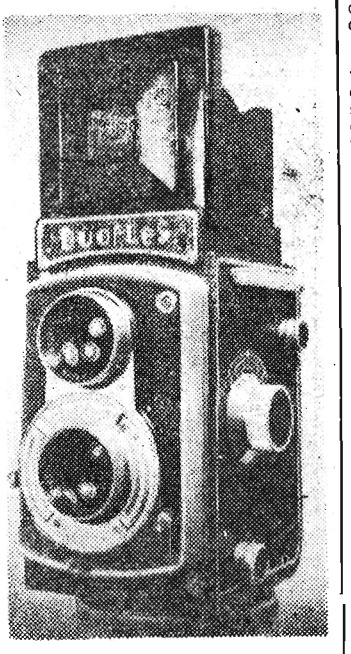

Nowe typy aparatów fotograficznych rzuca na rynek nasz przemysł optyczny. Są to małoobrazkowe: Fenix I i ulepszony z sprzężonym dalmierzem Fenix II oraz dwuobiektywna lustrzanka Duoflex, będąca znacznie zmodernizowanym i ulepszonym „Startem".

Na zdjęciu: „Duoflex".

Nie, poskramiacze wężów, nie noszą strojów kucharzy. Zdjęcie zostało zrobione w restauracji Fukuchan w Tokio, gdzie podaje się do stołu potrawy z wężów różnych odmian. Podobno są one niezwykle pożywne i mają właściwości lecznicze. W każdym razie restauracja cieszy się dużym powodzeniem.

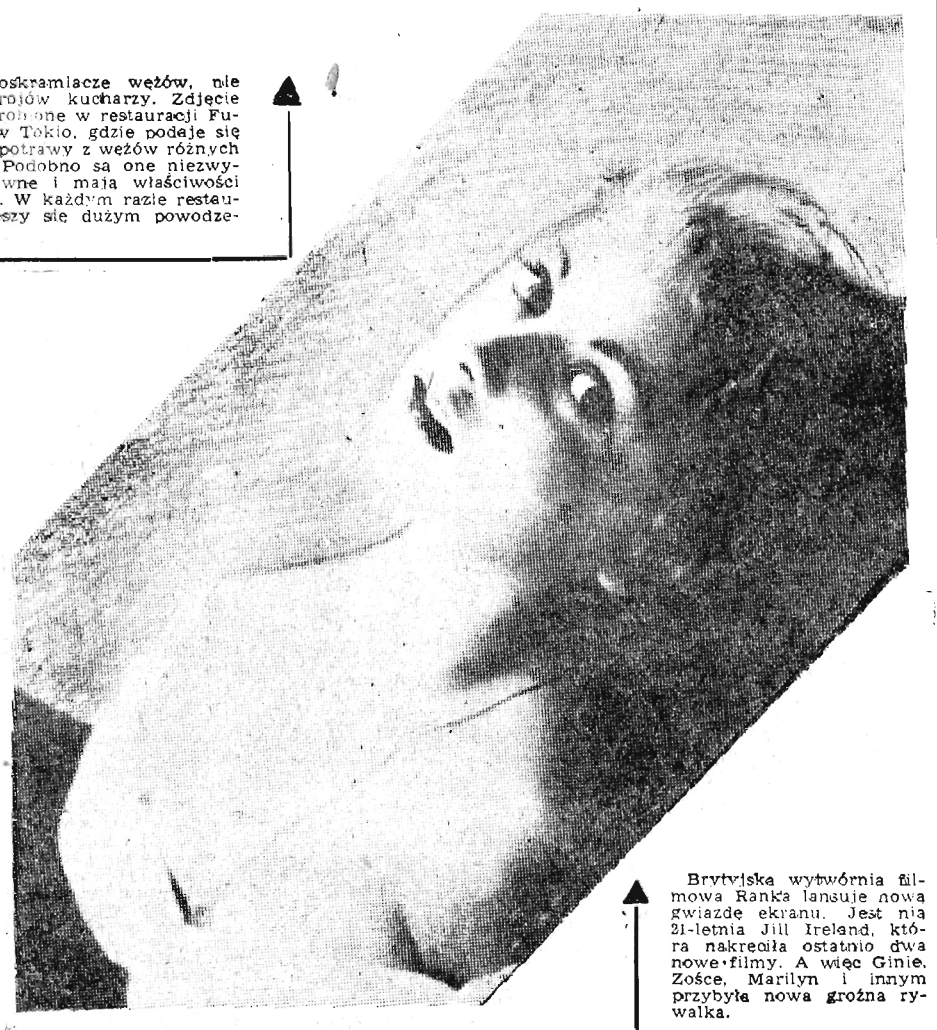

Brytyjska wytwórnia filmowa Ranka lansuje nową gwiazdę ekranu. Jest nią 21-letnia Jill Ireland, która nakręciła ostatnio dwa nowe filmy. A więc Ginie, Zośce, Marilyn i innym przybyła nowa groźna rywalka.

Nie trudno zgadnąć

Ciągówka (5 pkt.)

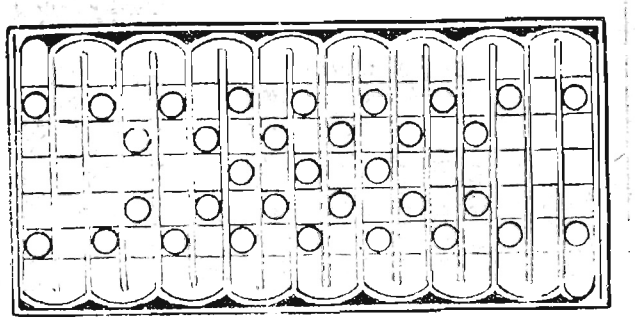

Rozpoczynając od lewego — górnego pola wpisać 23 wyrazy o podanej ilości liter, przy czym ostatnia litera każdego z nich — prócz końcowego — jest zarazem początkową następnego. Litery w polach zaznaczonych kółkami, czytane rzędami poziomymi, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. najazd, wtargnięcie (7), 2. miasto w Afryce północnej (11), 3. odstępca, odszczepieniec (8), 4. dochody rodziny panującej (7), 5. usunięcie z mieszkania (8), 6. działalność (5), 7. sztuka w języku łacińskim (3), 8. spogląda (8), 9. własnoręczny podpis lub pismo (8), 10. morskie zwierzęta futerkowe (4), 11. spis, wykaz (6), 12. niezbędna przyprawa (3), 13. świeci (5), 14. port w Arabii Saudyjskiej (4), 15. imię poety tureckiego polskiego pochodzenia (5), 16. napomnienie sens nauczający bajki, powiastki itp. (5), 17. drobny ssak drapieżny (6), 18. sędzia polubowny (7), 19. przyrząd gimnastyczny (3), 20. raz do ust (3), 21. lichy utwór literacki (6), 22. pierwiastek chemiczny (5), 23. najlepsza, niezrównana (14). W nawiasie podana jest ilość liter.

ZAGADKA (1 pkt.)

Weź trzy razy literę i raz krzykliwego ptaka,
A zdziwisz się, że teraz masz rzecz niecodzienną, jaka
Czasem zdarza się w domu, lecz częściej w lazarecie,
Niepotrzebna zdrowemu. — Co to — już pewnie wiecie.

Za trafne rozwiązanie tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: Oddział „Nowin Rzeszowskich", Przemyśl gmach MRN z dopiskiem „Rozrywki umysłowe", przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych. Nagrody te są niezależne od podanych w Nr 1 (345), a dotyczących turnieju szaradzistów.

ROZWIĄZANIA I NAGRODY

Nr 48 (344) Kombinatka: „Szaradzistom swoim składa redakcja działu zagadek serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne" (antagonista, astronom, mikroskopijne, elektromagnetyzm, modernizacja, adres, Szczerbiec, cokół, lyżwa, akord, dywidenda, adapter, rozwiązłość, ćma, absurd, dziełka, a. p. pańszczyzna).

Nagrody wylosowali: I. Jacek Paczosa — Kraków, II. Lidia Pikul — Glinik Mariampolski, III. Edward Ożóg — Trzebuska.

Nr 2 (346) „Magiczny sposób". — Zainteresowana osoba sama podaje numer obuwia i rok urodzenia, bo w czasie obliczania dodała do tych samych danych i odjęła liczby, które się redukują. Mnożenie numeru obuwia przez 100 ma na celu przesunięcie tej liczby na miejsca tysięcy i setek liczby czterocyfrowej. Liczba 1706 podana jest na rok 1956 — w każdym następnym roku należy ją powiększyć o 1.

Nagrody wylosowali: I. Wojciech Dull — Rozwadów, II. Antoni Tworek — Tarnów, III. Antoni Poręba — Ptaszkowa (pow. Nowy Sącz).

WAŻNE DLA SZARADZISTÓW

Wobec wyczerpania bonów książkowych wysyłane będą odtąd jako nagrody książki w naturze. Chcąc jednak dostarczyć czytelnikom nadal odpowiadającej im lektury, prosimy o podawanie przy rozwiązaniach zagadek tytułów książek, jakich by sobie życzyli, lub przynajmniej jakiego działu mają one dotyczyć. Ceny książek mogą się wahać w granicach: 17 — 22 zł I nagroda (oraz do 16 zł) nagroda II i III